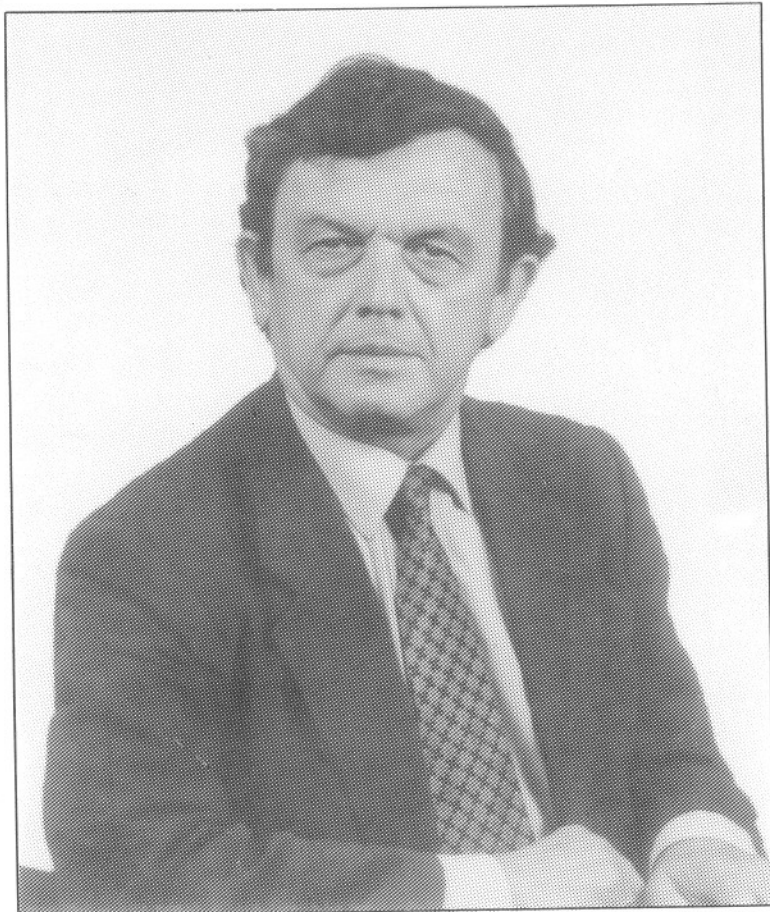


Perfidna gra



Spotkania z prof. Rurarzem

Wydawnictwo Wici
Chicago 1997

Perfidna gra

Spotkania

z prof. Rurazem

Perfidna gra

Spotkania z prof. Rurarzem

Trzecia część rozmów
pomiędzy Zdzisławem M. Rurarzem
a
Tomaszem S. Pochroniem

Wydawnictwo Wici
Chicago 1997

ISBN 0 - 938 335-30-8

Copyright by Wydawnictwo Wici

DRUK I TYPESETTING:
WYDAWNICTWO WICI
3104 N. CICERO, CHICAGO, IL 60641
☎ (773) 685 0406.

Tom niniejszy ukazuje się w XV rocznicę opuszczenia przez prof. Rurarza stanowiska ambasadora PRL w Japonii i uzyskania azylu politycznego w USA. Stało się to 23 grudnia 1981 roku na znak protestu przeciwko stanowi wojennemu w Polsce.

*W trzecią rocznicę śmierci św. pamięci
Tadeusza Ungara wielkiego patrioty, żołnierza,
filantropa i świetnego publicyści*

*Siostra Jadwiga
Koledzy i Redakcja "Panoramy"*

Na okładce: zdjęcie prof. dr Zdzisława Rurarza.

ROZMOWA PIERWSZA

- Mijają trzy lata od ostatniej naszej rozmowy, której rezultatem była ich Część II, opublikowana w czerwcu 1994 r., po tym jak Część I ukazała się prawie rok wcześniej.

Rozmowy nasze, choć z dużym opóźnieniem, dotarły także do Kraju, gdzie wywołały duże zainteresowanie. Stamtąd też przyszły sugestie, czy nie moglibyśmy odbyć kolejnej serii rozmów, stanowiących Część III „Perfidnej gry”, zwłaszcza że w międzyczasie miały miejsce różne wielkie wydarzenia.

- Z wielką przyjemnością porozmawiam z Panem na dowolne tematy. Słucham więc.

- W ostatniej naszej rozmowie nie był Pan optymistą co do szans członkostwa Polski w NATO, w Unii Europejskiej i Unii Zachodnioeuropejskiej. Od tego czasu wiele jednak zmieniło się i chyba szanse tego członkostwa są lepsze od tych sprzed trzech lat, nieprawda?

- Prawda i nieprawda jednocześnie, w zależności od tego jak patrzeć na szanse tego członkostwa.

Tak na przykład, wizyta premiera III RP/PRL - bis Włodzimierza Cimoszewicza w Moskwie, która miała miejsce w dniach 12-15 listopada 1996 r., a której pełnych szczegółów jeszcze nie znam w chwili naszej rozmowy, będzie mieć olbrzymi wpływ na finał podniesionego przez Pana członkostwa.

Cimoszewicz podpisał bowiem porozumienie w sprawie utworzenia polsko-rosyjskiej „strefy wolnego handlu”. Projekt porozumienia przywiózł do Warszawy miesiąc wcześniej rosyjski wicepremier Oleg Dawydow, co wkrótce wydało się i nawet spowodowało protesty ze strony ROP Olszewskiego, że odtwarza się RWPG.

W każdym razie, jeśli Polska chce wstąpić do Unii Europejskiej, to z takim wianem jak to porozumienie — nie ma na to szans.

Jeszcze gorzej może być z polskim członkostwem w NATO. Cimoszewicz podobno w ogóle nie dyskutował tej sprawy z rosyjskim premierem i pełniącym obowiązki prezydenta Wiktorem Czernomyrdinem, a obaj mieli tylko ograniczyć się do powtórzenia znanych stanowisk obu rządów co do tego członkostwa, choć nie wiadomo czy i to miało miejsce.

Co gorsza, obaj premierzy, przy zamkniętych drzwiach, omawiali sprawę współpracy wojskowej polsko-rosyjskiej, a zagadnięty potem na ten temat Czernomyrdin powiedział, że były to sprawy tak tajne, że nie może o nich mówić!

Jeśli tak, to cała sprawa jest niedźwiedzią przysługą dla polskiego członkostwa w NATO, a jeśli Polska ponadto nie kupi amerykańskich samolotów F-16, tylko kupi rosyjskie Migi czy Su, to już w ogóle nie ma o czym mówić.

Zresztą, Jelcyn, w dniu 29 listopada 1996 r., na trzy dni przed lizbońską sesją Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie, gdzie będą dyskutowane także sprawy „modelu bezpieczeństwa” starego kontynentu, jeszcze raz powiedział „Niet!” rozszerzaniu NATO na wschód, czyli tym samym polskiemu w nim członkostwu. W dniu 2 grudnia 1996 r. zaś, na wspomnianej sesji lizbońskiej, premier Wiktor Czernomyrdin, reprezentujący nieobecnego Jelcyna, powtórzył jego „Niet!” sprzed paru dni i to rozeźlonym głosem.

- Ale przecież nie zaprzeczy Pan, że mimo wszystko perspektywy polskiego członkostwa w NATO stały się ostatnio jakby bardziej pomyślne...

- Formalnie ma Pan rację, a przynajmniej tak było do wspomnianej wizyty Cimoszewicza w Moskwie, jak też cytowanych oświadczeń Jelcyna i Czernomyrdina.

Członkostwo Polski w NATO, po wystąpieniu prezydenta Clintona w Detroit w dniu 22 października 1996 r., rzeczywiście jakby miało lepsze perspektywy, ale „jeszcze poczekajmy, jeszcze się nie śpieszmy...”, jak to jest w jednej z popularnych polskich piosenek.

Co się zaś tyczy perspektyw członkostwa Polski w Unii Europejskiej, to po odbytych przez obie strony rozmowach w połowie października 1996 r. w Brukseli, optymistyczne dotąd nastroje co do jego sfinalizowania do 2000-go roku oddaliły się, nie mówiąc już o tym co się stało w Moskwie, na co z pewnością Bruksela zareaguje w jakiś sposób.

- Proponuję jednak kontynuować temat szans polskiego członkostwa w Unii Europejskiej i Unii Zachodnioeuropejskiej.

- Czy mógłby Pan podać nieco podstawowych informacji na temat obu tych instytucjach?

- Dobrze, zacznijmy od Unii Zachodnioeuropejskiej, „europejskiego NATO”, do której Polska, wraz z ośmioma innymi krajami b. bloku sowieckiego, została przyjęta 9 maja 1994 r.

jako tzw. członek stowarzyszony, z zamiarem zostania pełnym członkiem. Ponieważ jest to instytucja narazie mniej ważna od pozostałych dwóch, więc weźmy ją na „pierwszy ogień”, żeby potem do niej nie powracać.

Otóż UZE powstała 23 października 1954 r., stawiając sobie za cel bezpieczeństwo Europy, które miało gwarantować początkowo siedem krajów: Anglia, Belgia, Francja, Holandia, Luksemburg, Niemcy Zachodnie i Włochy. W 1989 r. przystąpiły do niej Hiszpania i Portugalia, a w 1991 r. Grecja, Islandia, Norwegia i Turcja. Łącznie więc UZE liczy 13 członków, z szansą na więcej. Nie jest to jednak żaden sojusz wojskowy, choć może istotnie takim będzie w przyszłości, jako wspomniane już „europejskie NATO”. UZE nie jest też jeszcze „odnogą zbrojną Unii Europejskiej”, ale może będzie. Na dzień dzisiejszy jednakże, ostatnio aktywizująca się UZE, zapewnia w sposób bliżej niejasny bezpieczeństwo krajów członkowskich, jak też utrzymuje ścisły kontakt z NATO.

- Przejdźmy zatem do Unii Europejskiej. Rozumiem, że na ten temat, podobnie jak dotyczący NATO, ma Pan zamiar napisać w książce, która ma się wkrótce ukazać, ale może nie będzie kolizji między jednym a drugim?

- Miejmy nadzieję, że nie będzie.

A więc, Unia Europejska, to wielowiekowe marzenie różnych „Europejczyków”, którym czasem coś nawet udawało się na tym odcinku, choć o integracji Starego Kontynentu dzisiejszym językiem jeszcze nie mówili.

Konkretnie mówiąc, mam na myśli „Hanzę”, określenie pochodzenia niemieckiego, inaczej nazywaną też „związkami hanzeatyckimi”, czyli związkami kupców i miast w średnio-wiecznej Europie. Pierwsza Hanza, zwana niderlandzką, pojawiła się już w XII wieku, a potem przyszły londyńska i nade wszystko niemiecka, najważniejsza, która w okresie XIV i XV wieku objęła swoją działalnością także ziemie polskie, nie mówiąc już o krajach bałtyckich, Skandynawii, czy niektórych ziemiach ruskich, z Nowgorodem na czele. Hanza, która u szczytu swojej potęgi liczyła ok. 160 miast, w tym m. in. Kraków, Toruń i Gdańsk, prowadziła czasem nawet zwycięskie wojny, jak na przykład z Danią.

Wraz z upływem czasu jednakże, w XVI wieku, w związku z narastającymi sprzecznościami wewnętrznymi, Hanza zaczęła stopniowo upadać, kończąc swój żywot w XVIII wieku, choć co prawda będąc w Hamburgu w 1959 r. byłem w aktualnie czynnym tam ciągle „biurze Hanzy”, która w tym mieście, podobnie jak w

Bremie, nadal działa.

- **Jaki stąd płynie wniosek dla perspektyw obecnej integracji europejskiej?**

- Żeby to ja wiedział! Zresztą, koncepcje jednoczenia Europy, wcześniejsze od Hanzy, miał też Kościół, czyli stolica papieska, monarchowie, zwłaszcza król niemiecki, który jeszcze w 962 r. ogłosił się Cesarzem Rzymskim Narodu Niemieckiego, próbując odbudować dawne imperium rzymskie, jako chrześcijańskie. Czesi weszli w jego skład, ale nie Polacy. Przeciwnie, prowadzili z nim wojny. Cesarstwo, jak wiadomo, Europy nie zjednoczyło i ostatecznie upadło w 1806 r. Niemniej jednak, idea jednoczenia Europy była tu i ówdzie żywa, zwłaszcza w drugiej połowie ub. stulecia, jak też w okresie międzywojennym. Zamiast jednakże zjednoczenia Europy, były dwie wielkie wojny europejskie, które przerodziły się w wojny światowe.

Po II wojnie światowej, przegrani Europejczycy, gdyż zwycięzcami były dwa mocarstwa pozaeuropejskie, USA i ZSRR, zaczęli znów myśleć o jednoczeniu się, przynajmniej ci w Europie Zachodniej, gdyż ci we Wschodniej, nie mieli nic do powiedzenia.

W rezultacie tego, nie wchodząc już w szczegóły, 18 kwietnia 1951 r. powstała Europejska Wspólnota Węgla i Stali, do której weszły Belgia, Francja, Holandia, Luksemburg, Niemcy Zachodnie i Włochy. Przedsięwzięcie było tak udane, że te same kraje, 25 marca 1957 r., w Rzymie, utworzyły Europejską Wspólnotę Gospodarczą, prekursora dzisiejszej Unii Europejskiej. Do „Szóstki” dołączyły następnie w 1973 r. Anglia, Dania i Irlandia, w 1981 r. Grecja, w 1986 r. Hiszpania i Portugalia, a w 1995 r. Austria, Finlandia i Szwecja. Norwegia i Szwajcaria, w wyniku referendum powszechnego, postanowiły do Unii nie wstępować. Przypomnijmy też, że dawna EWG, dziś 385-milionowa „piętnastka”, przestała istnieć, a na jej miejscu, z dniem 1 listopada 1993 r., pojawiła się obecna Unia Europejska.

- **Do której Polska chce koniecznie przystąpić, licząc nie tylko na korzyści handlowo-gospodarcze, ale także na aktywne włączenie się do budowy „zjednoczonej Europy”...**

- No właśnie. Jeśli tylko próby te zakończą się pomyślnie, a sama budowa nie zawali się przed jej ukończeniem.

- **Pan ciągle wierzy, że to możliwe?**

- Sądząc z doświadczeń historycznych, powodów do wiary w powodzenie „europejskiej budowy” nie mam, nawet jeśli na jej dachu pojawi się wiecha. Dopiero czas pokaże, jak długo po stronie ona na dachu, z dachem i samą budowlą włącznie...

- **Przejdźmy jednak do polskich starań o członkostwo w Unii. Jak wyglądają sprawy na tym odcinku?**

- Pozwoli Pan, że zacznę od osobistych wspomnień. Tak się bowiem złożyło, że byłem pierwszym Polakiem, reprezentującym wtedy władze PRL, który przekroczył progi Unii, wówczas jeszcze EWG, w styczniu 1960 r. Wizyta była nieoficjalna, gdyż oficjalnych z nią kontaktów, czyli z jej Komisją, coś jakby embryonalnym „ponadnarodowym rządem”, nie wolno było utrzymywać wtedy krajom RWPG i Układu Warszawskiego. Moskwa bowiem określiła EWG jako „przybudówkę NATO”, nie uznała jej istnienia, a tym samym jakiegokolwiek z nią kontakty były zakazane.

Walkę z tym stanem rzeczy, wówczas jako naczelnik Wydziału Międzynarodowych Organizacji Gospodarczych w Ministerstwie Handlu Zagranicznego, podjąłem więc na własną rękę. Przekonałem wiceministra Franciszka Modrzewskiego, że koniecznie musimy wejść w kontakt z Komisją EWG. Od listopada 1959 r. bowiem, od tokijskiej XV sesji GATT, Układu Ogólnego o Taryfach Celnych i Handlu, na której obaj byliśmy obecni, PRL została członkiem stowarzyszonym tej organizacji, ale akt ten musiał być jeszcze ratyfikowany przez zainteresowane strony. W tym czasie, Komisja EWG, mimo że jej kraje członkowskie były reprezentowane w GATT, występowała zawsze w ich imieniu, co nadawało jej, obok USA, znaczenia decydującego na tym forum. Bez kontaktów z nią, ratyfikacja wspomnianego porozumienia mogła stać się zatem nierealna. Warto też dodać, że w tym czasie, spośród wszystkich krajów bloku sowieckiego, jedynie Czechosłowacja była pełnym członkiem GATT, jeszcze z 1947 r., kiedy to nie była formalnie jeszcze w bloku. W GATT jednakże siedziała cicho i rada była, że tam w ogóle siedzi. Do GATT należała także Kuba, ale przez jeszcze parę lat, nie była „krajem socjalistycznym” i członkiem RWPG.

Stąd też zbliżenie PRL do GATT, podobnie jak zbliżenie Jugosławii, która jednakże krajem bloku sowieckiego nie była, stało się wtedy wielkim wydarzeniem i trzeba było tokijską deklarację jakoś uprawomocnić. Modrzewski zgodził się więc na mój wyjazd do Brukseli, błagając jedynie, żebym o tym nikomu nie wspominał, nie wysyłał do niego depeesz, ani też potem nie pisał oficjalnych sprawozdań.

Tak też stało się. Do Brukseli poleciałem i byłem tam przyjęty na wysokim szczeblu, przez Dyrektora Generalnego Komisji, p. Hijzena oraz Dyrektora ds. Zagranicznych dr. Ernsta.

- **Sprawa nie wydała się?**

- Nie, nie wydała. Potem, w grudniu 1960 r., wspomniany proces ratyfikacji zakończył się i odtąd już, na forum GATT w Genewie, z Komisją EWG mieliśmy kontakty zupełnie oficjalne, a nieoficjalne także w Brukseli. Czy Sowieci o tym wiedzieli czy nie, nie jestem pewien, ale za to wiem, że oni też mieli z Komisją nieoficjalne kontakty...

Potem, gdy PRL została pełnym członkiem GATT w 1967 r., kontakty z Komisją EWG były już całkiem normalne, ale nadal nieformalne. Kraje bloku sowieckiego ciągle bowiem Komisji, podobnie jak całej EWG, nie uznawały. Problem zaczął się jednak komplikować, gdyż istniejące dotąd dwustronne układy handlowe pomiędzy krajami bloku sowieckiego a członkami EWG zaczęły wygasać, aż ostatecznie wygasły w 1975 r. Trzeba było więc podpisać nowe, ale zgody Moskwy na to nie było. Wpadła więc na pomysł, żeby taką umowę z Komisją EWG podpisał Sekretariat Wykonawczy RWPG. Rzecz była tylko w tym, że o ile Komisja EWG miała uprawnienia reprezentowania krajów członkowskich na zewnątrz, będąc jedynym „nadzorcą” ich polityki handlowej, to Sekretariat RWPG takich uprawnień nie miał, ale twierdził, że miał! Latałem więc do Moskwy, jako doradca ekonomiczny ministra spraw zagranicznych PRL i tam, z resztą jej delegacji, jak też innych krajów RWPG, z Sekretarzem Wykonawczym RWPG Nikołajem Faddiejewem na czele, lecieliśmy następnie do Brukseli, gdzie tylko on występował w imieniu wszystkich. Chłopisko było zupełnie nieporadne, pojęcia o niczym nie miał, Komisja zaś słusznie twierdziła, że nie ma on pełnomocnictw do żadnych negocjacji o handlowym charakterze, on z kolei temu przeczył — i tak w koło Wojtek...

Potem w Moskwie znów spotykaliśmy się dla sporządzenia wspólnego raportu dla wyższych władz RWPG, co już było kompletną komedią. Najczęściej bowiem, głównie Sowieci, byli ludźmi, którzy w brukselskich rozmowach udziału nie brali, ale za to w szczegółach „wiedzieli” jak się one toczyły! Próbowalem temu oponować, gdyż do raportu wnosili nieprawdziwy obraz sytuacji, ale bez skutku. Raz mi nawet „poradzono”, w grudniu 1978 r., żebym siedział cicho. Nie siedziałem i za chwilę zostałem telefonicznie wezwany do wiceministra spraw zagranicznych Mariana Dmochowskiego, który po coś zjechał do Moskwy. Ten mnie prosił, żebym jednak „wyciszył się”, co też uczyniłem, ale odtąd już w rozmowach RWPG-EWG udziału nie brałem...

- Czyż skończyły się te rozmowy?

- Z przerwami trwały one całymi latami, aż wreszcie, w 1988 r., RWPG uznała EWG i nawzajem. W rezultacie tego nawiązano stosunki dyplomatyczne, ale żadnych umów handlowych pomiędzy tymi instytucjami nie podpisano. W tym samym roku tylko Węgry i Czechosłowacja podpisały dwustronne umowy handlowe z Komisją EWG, a w roku następnym przywileje ze strony tej ostatniej zostały rozciągnięte na pozostałe kraje RWPG.

Następnie miały miejsce znane wydarzenia w bloku sowieckim, a w ich wyniku, po dłuższych negocjacjach, III RP /PRL - bis podpisała z EWG 16 grudnia 1991 r. porozumienie o tzw. członkostwie stowarzyszonym, które po ratyfikacji przez strony weszło w życie 1 lutego 1994 r.

- W ten sposób członkostwo stałe jest już prawie pewne, czyż nie tak?

- Niestety, niezupełnie tak. Wspomniane porozumienie z Polską nie było jedynym, jakie wtedy EWG podpisała. Podpisała je bowiem także z Węgrami i Czechosłowacją, która od 1 stycznia 1993 r. rozpadła się na Republikę Czeską i Słowację, a później podpisała też z Bułgarią i Rumunią.

W porozumieniach tych, tylko we wstępie do nich, ledwie wspomniano o możliwości awansowania ze statusu członka stowarzyszonego do statusu członka pełnego. Dopiero na tzw. szczycie EWG, czyli spotkaniu szefów państw i rządów krajów członkowskich, które odbyło się w czerwcu 1993 r. w Kopenhadze, jako tako wspomniano, że członkostwo stowarzyszone, po odpowiednich negocjacjach oczywiście, może przejść w pełne członkostwo. Potem co prawda Niemcy, kanclerz Kohl zwłaszcza, zaczęły składać oświadczenia, że członkostwo takie jest sprawą pewną, nawet może przed 2000-m rokiem, ale jak z tym będzie naprawdę dowiemy się wkrótce.

- Kiedy konkretnie?

- Na dzień dzisiejszy, gdyż jutro sprawa może wyglądać inaczej, „kalendarz” Unii Europejskiej odnośnie rozpoczęcia negocjacji na temat przejścia krajów o członkostwie stowarzyszonym na pełne, jest mniej więcej ustalony, ale proceduralnie dość zagmatwany.

Tak na przykład, w lipcu 1997 r. odbędzie się szczyt Unii Europejskiej, która ma przyjąć projekt przygotowywanego nowego jej układu, nad którym od marca 1996 r. pracuje w Turynie specjalna grupa międzyrządowa, zwana w angielskim skrócie IGC. Jeśli Grupa projekt układu opracuje na czas, jak też

będzie on dla „piętnastki” do przyjęcia, a nie jest to wcale pewne, gdyż dochodzące z niej głosy nie są optymistyczne, to szczyt go przyjmie. Warto podkreślić, że kraje członkowskie Unii są właściwie zgodne co do tego, że jej dalsze rozszerzenie się o nowych członków jest możliwe tylko po przyjęciu nowego układu.

Zakładając jednak, że tak właśnie będzie, to za parę miesięcy po tym wydarzeniu, gdyż w chwili naszej rozmowy dokładna data nie jest jeszcze znana, odbędzie się specjalne zebranie Unii, nie wiadomo jeszcze na jakim szczeblu, które wyda pisemną „opinię” na temat celowości rozpoczęcia negocjacji o pełne członkostwo z następującymi 10-ciomą krajami: Bułgarią, Estonią, Litwą, Łotwą, Polską, Republiką Czeską, Rumunią, Słowacją, Słowenią i Węgrami.

Trzeba jednak dodać, że „opinie” na „tak” lub „nie” będą wydane dopiero po czerwcowym szczycie NATO, który z kolei ustali „listę zaproszeń” krajów b. Układu Warszawskiego, jako kandydatów do Sojuszu.

Innymi słowy, może być tak, że jeśli Polska nie znajdzie się na natowskiej „liście” zaproszonych, to również Unia Europejska może nie wydać jej pozytywnej „opinii”...

- Czyli jedno członkostwo warunkuje drugie?

- Oczywiście. Zresztą, na ten temat członkowie NATO i Unii Europejskiej, Niemcy głównie, mówią już nie od dzisiaj. Niby takie jednoczesne członkostwo jest jednakowo ważne, ale myślę, że to w NATO jest ważniejsze. Jeśli Polska nie przejdzie przez natowskie „ucho igielne”, to nie przejdzie także przez unijne.

Po wydaniu wspomnianych i pozytywnych „opinii”, negocjacje nie rozpoczną się natychmiast, ale najprawdopodobniej dopiero pod koniec 1997 r. Podjęte one zostaną nie tylko ze wspomnianą już „dziesiątką”, ale także z Cyprzem i Malcią, które, dodajmy to, żadnych „opinii” nie potrzebują.

Jak długo mogą one trwać — tego już nikt nie wie. Sprawę komplikuje dodatkowo fakt, że w międzyczasie trwać będzie proces ratyfikacyjny wspomnianego już nowego układu Unii, w niektórych krajach członkowskich wymagającego referendum powszechnego. Gdyby ten proces skończył się fiaskiem, to fiaskiem skończą się także negocjacje ze wspomnianymi kandydatami.

- Jak jednakże wyglądają sprawy polskiego członkostwa w świetle wspomnianych już powyżej komplikacji brukselskich?

- Ano, z tym i cały problem. Członek Komisji, Hans van den Broek, oświadczył bowiem 18 października 1996 r. w Brukseli, w wyniku rozmów z delegacją polską, że członkostwo Polski w Unii nie jest wcześniej możliwe, w związku z licznymi dotąd nie rozwiązanymi problemami, niż „ok. 2002 roku”, jeśli nie później. Inne głosy dochodzące z Unii sugerują nawet, że jeśli w tym czasie Polska zostanie pełnym członkiem, to jednakże z zastosowaniem do niej „klausul wyjątkowych” aż do 2010 r. Dopiero po tej dacie, jeśli klauzule te uległyby likwidacji, Polska może być naprawdę pełnym członkiem Unii Europejskiej.

- A więc po 50-ciu latach, od kiedy przekroczył Pan progi jej siedziby i od kiedy zaczęło się wzajemne zbliżenie?

- Tak na to wygląda, choć może być nieco lepiej, albo też całkiem źle i Polska w ogóle do Unii Europejskiej nie przystąpi.

A propos, prezydent Kwaśniewski, w wywiadzie dla paryskiego dziennika „Liberation” z 2 grudnia 1996 r. powiedział, że „nie będzie tragedii, jeśli Polska nie przystąpi do Unii w 2000 roku”...

- Niech Pan powie, konieczne Polsce to członkostwo?

- Myślę, że tak, choć wszystko zależy od tzw. bilansu wzajemnych praw i obowiązków, wynegocjowanego członkostwa. Grecja, niemal czterokrotnie mniejsza ludnościowo od Polski, jak też mająca dwukrotnie wyższy od niej dochód narodowy na głowę, otrzymuje od Unii „czystą” pomoc w wysokości 4 miliardów dolarów rocznie. Polska powinna więc dostawać co najmniej 16 miliardów dolarów takiej pomocy, ale jest to absolutnie niemożliwe.

Ale nie tylko o pomoc tutaj chodzi. Na kraje Unii Europejskiej przypada dwie trzecie polskiego handlu zagranicznego. Dla Polski więc, podobnie jak dla pozostałych wspomnianych już krajów, członkostwo w Unii ma pierwszorzędne znaczenie. Niestety, nie dla Unii także, gdyż kraje te stanowią jedynie 4 procent w jej globalnych obrotach. Świetnie może więc egzystować bez handlu z nimi, ale nie odwrotnie.

A co się tyczy korzyści na dzisiaj, gdyż o tych na jutro przedwcześnie jeszcze mówić, to są one mniejsze od spodziewanych, a nawet są o tzw. ujemnym charakterze. Proszę bowiem pamiętać o tym, że wspomniane już członkostwo stowarzyszone Polski z Unią Europejską, stanowiące część tzw. Europejskich Porozumień, w myśl których sygnatariusze zobowiązują się w ciągu dziesięciu lat wprowadzić wolny handel w artykułach przemysłowych, bez względu na to czy są i będą członkami Unii

Europejskiej, to bardzo poważna sprawa. W pierwszym etapie tego okresu Polska uzyskała od Unii więcej koncesji celnych i kontyngentowych, niż odwrotnie, ale w drugim etapie proporcje te odwracają się. Innymi słowy, Polska będzie coraz bardziej wystawiona na konkurencję ze strony Unii, której może nie wytrzymać, a nawet już nie wytrzymuje.

Co gorsza, tam gdzie Polska mogłaby być konkurencyjna, jak na przykład w wyrobach hutniczych, przemysłu lekkiego czy innych towarach, to Unia obłożyła je kontyngentami ilościowymi. Jeszcze gorzej ma się sprawa z artykułami rolnymi, które w Unii poddane są drastycznej kontroli importowej. W praktyce oznacza to, że ponad 40 procent polskiego eksportu do Unii poddanych jest różnym ograniczeniom. Rezultat tego jest zaś taki, że deficyt handlowy Polski z Unią rośnie.

Tak czy inaczej, jak do tej pory, więcej jest niekorzyści niż korzyści ze zbliżenia z Unią, a jak będzie potem — można spekulować bez końca.

- Niech Pan powie szczerze, Unia Europejska chce przystąpienia Polski do niej, czy nie chce?

- Proszę Pana, na to pytanie nie można odpowiedzieć jednym zdaniem, gdyż na piętnastu członków Unii Europejskiej może być piętnaście opinii na ten temat.

Anglicy na przykład, niby Polsce przyjaźni, są jednocześnie przeciwnikami zbyt głębokiej integracji europejskiej. Uważają, że można skończyć na dobrze funkcjonującej strefie wolnego handlu. W tym sensie mogą pośrednio blokować pełne członkostwo Polski w Unii. Członkostwo takie wymagałoby bowiem szeregu instytucjonalnych przemian w funkcjonowaniu Unii, oraz przeprowadzenia kolejnego rozdziału głosów w Komisji, gdzie głosuje się według tzw. głosów ważonych, a nie gdzie każdy kraj ma jeden głos. Nowy rozdział tych głosów, choć do tego jeszcze bardzo daleko, jeśli w ogóle coś z tego wyjdzie, już wywołuje głębokie kontrowersje w Unii i stąd Anglicy są za pozostawieniem sprawy w obecnym stanie, rzecz niemożliwa, jeśli Unia miałaby wzrosnąć z piętnastu do dwudziestu siedmiu członków. W tej sytuacji Polska jawi się jako niechcący przeciwnik Anglii i odwrotnie.

Co więcej, Unia trzyma się przede wszystkim na osi Paryż-Bonn, od 2000 r. Paryż-Berlin, kiedy to stolica Niemiec zostanie przeniesiona. Francja jest niby przyjazna Polsce, ale boi się przystąpienia Polski do Unii, gdyż Niemcy mogą z niej wtedy zrobić swój „hinterland”, dodatek do swojej gospodarki, kosztem

Francji.

Zresztą, Niemcy też boją się Polski. Polski robotnik jest 10-krotnie tańszy od niemieckiego. Może być więc i tak, że kapitał zacznie uciekać z Niemiec do Polski, jak też napływać tam z innych krajów, jeśli już wejdzie do Unii. Polacy ponadto, korzystając z wolnego przepływu siły roboczej, mogą zacząć masowo osiedlać się w Niemczech, czego tam nikt nie oczekuje.

I wreszcie, „biedne” kraje Unii, które korzystają z jej pomocy, jak Grecja, Irlandia, Hiszpania i Portugalia, będą musiały zrezygnować z części tej pomocy na korzyść nowych członków. Cała „dziesiątka” bowiem, Czechów nie wyłączając, którzy są biedniejsi od Greków, to przecież 105-106 milionów ludzi! Nikt nie chce mieć takich „obdartusów” na głowie! Włochy chcą się rozbić na 2-3 części, gdyż ci bogatsi z Północy nie chcą łożyć na tych biedniejszych z Południa, b. Niemcy zachodni nie chcą łożyć na b. Niemców wschodnich, a kto będzie chciał łożyć na Polaków, czy jakichś Rumunów?

- Dziś będzie łożył, ale jutro z tego przecież skorzysta...

- Obawiam się, że korzysta już dzisiaj, a jutro musiałby łożyć, a więc po co mu taka zamiana?

Ot, weźmy taki przykład: gdyby Polska już dziś wstąpiła do Unii Europejskiej, to prawie 40 procent ludności rolniczej tej ostatniej przypadłoby na chłopów polskich! Zmorą Unii jest właśnie rolnictwo, drogie, dofinansowywane z budżetu i wspierane wysokimi cenami żywności na wewnątrz. Co prawda przebudowa tego rolnictwa na bardziej wydajne trwa, ale ponad już 40-letnie wysiłki w wielu krajach Unii będą trwać pewnie drugie tyle i pochłoną masę pieniędzy. Najgorsze, że to niewydajne rolnictwo produkuje nadwyżki, z którymi nie wiadomo co robić. Po wejściu Polski do Unii nadwyżki te jeszcze bardziej wzrosną, a jej „budżet rolny” też będzie musiał wzrosnąć. Kłopot więc ogromny. W Unii podnoszą się nawet głosy, że niemal połowa polskich użytkowników rolnych powinna być zalesiona. Zgoda, może i tak trzeba, ale co zrobić wtedy z milionami Polaków żyjących na wsi? Do miasta pójdą, gdzie nie ma pracy? Albo wyjadą jej szukać w Unii, gdzie już jest 20 milionów bezrobotnych i ilość ich nadal wzrasta?

A w ogóle, to Polska, nie ona tylko jedyna we wspomnianej „dziesiątce”, gdyż o Cyprze i Malcie, z jednym milionem ludzi nie ma co mówić, jest naprawdę za biedna na członkostwo w Unii. Spóźniła się na wskoczenie do jej pociągu, nie z jej winy zresztą, a teraz sama go nie dogoni, ani też nikt nie wyciągnie do

niej pomocnej ręki, żeby ją wciągnąć na końcowy wagon. Produkt krajowy brutto na mieszkańca Polski, licząc go ulgowo, jest 4-krotnie niższy niż w Unii, a w porównaniu z Niemcami 6-krotnie niższy. Dawne Niemcy zachodnie wpompowały w b. NRD już ponad 600 miliardów dolarów i końca wydatków nie widać, choć ludność jej nie stanowi nawet połowy ludności polskiej, a ponadto zawsze była na wyższym poziomie rozwoju.

Kto więc będzie łożył na Polaków, Rumunów, Bułgarów i innych? W Unii Europejskiej ponadto, kończy się „państwo opiekuńcze”, czyli wysokie emerytury, wysokie i niemal wieczne zasiłki dla bezrobotnych, bezpłatna opieka lekarska, niemal bezpłatne nauczanie i wiele innych rzeczy, do których ludzie przyzwyczaili się już od dziesiątków lat. Trudno im to będzie teraz odebrać, a jeśli jeszcze mieliby pomagać innym, to już jest to zupełnie nierealne. Gdyby Polska miała produkt krajowy brutto na głowę mieszkańca 2-3-krotnie wyższy od obecnego, to patrzonoby na nią inaczej, choć i wtedy byłby on ciągle jeszcze za niski, ale przy obecnym jego poziomie, przepraszam za słowo, patrzy się na nią jak na wręcz „proszalnego dziada”, nawet nie jak na ubogiego krewnego. Mówi się, że nie ma Europy bez Polski. Niestety jest i do 1989 r. Europa Zachodnia dawała sobie świetnie radę bez Polski, podobnie jak bez całej Europy Środkowej i Wschodniej.

- Może jednak względy polityczne członków Unii Europejskiej, Niemiec zwłaszcza, spowodują inne spojrzenie na całą sprawę?

- Takich względów nie można oczywiście wykluczać i one z pewnością są, ale za takie względy, mówiąc brutalnie, trzeba płacić. Kraje członkowskie Unii są jednakże, Niemiec nie wyłączając, bardzo zadłużone na wewnątrz, Włochy w stopniu nawet przewyższającym wielkość ich produktu krajowego, nie mówiąc już o Grecji.

Konkretnie mówiąc, nikt w Unii nie ma „wolnych pieniędzy”, z którymi nie wie co robić. Przeciwnie, pieniędzy tych ciągle brakuje, a będzie ich jeszcze bardziej brakować, kiedy dojdą tak zachłanne na nie kraje jak Polska...

- To dlaczego kraje Unii Europejskiej nie powiedzą tego otwarcie Polsce i jej podobnym krajom, a tylko bawią się „w kotka i myszkę”?

- Nie powiedzą, gdyż politycznie jest to dla nich niewygodne, a nawet niemożliwe z innych, humanitarnych względów. Ale przecież są inne sposoby „wykręcenia się sia-

nem”. Turcja już od 33 lat stara się dostać do Unii i nie może. Z Polską może być podobnie.

A propos, Unia, przygotowując się do negocjacji z Polską, zadała jej ok. 3-ch tysięcy pytań na 2,5 tysiącach stron. Zawsze więc można powiedzieć, że odpowiedzi były nieprecyzyjne i zadawać nowe, potem je analizować, aż wreszcie powiedzieć, że są one niezadawalające, itd., itp.

I co wtedy? Przecież to nie Unia przychodzi do Polski i zaprasza ją na swojego członka, ale to Polska próbuje się do niej dostać.

Unia wreszcie, ma aż nadto własnych kłopotów wewnętrznych. O niektórych z nich mówiliśmy już powyżej, ale nowe są też na horyzoncie. Taką próbą sił dla niej będzie unia walutowa w 1999 r., a w 2002 r. „unijny pieniądz”, dość nieszczerliwie nazwany „Euro”, w alfabecie łacińskim i greckim, który jest różnie wymawiany w różnych krajach. Dla Niemców jest on „Ojro”, dla Anglików „Juro”, dla Francuzów „Ero”, a dla Greków słowo to oznacza... „mocz!”

Najgorsze, choć jest to pomysł niemiecki, w treści swojej niezwykle surowy co do kryteriów, że obecnie same Niemcy nie są w stanie im sprostać! Kto więc w końcu przystąpi do tej unii i jak ona będzie funkcjonować — nikt jeszcze nie ma pojęcia. Jeśli sprawy pójdą źle, to kto wie czy dalsze pomysły na drodze integracji europejskiej nie skończą się na tym. Tak to nawet przepowiada prezydent Bundesbanku, Hans Tietmeyer, osoba w Unii Europejskiej najlepiej poinformowana i najpotężniejsza. Unia polityczna i wojskowa jest bowiem jeszcze trudniejszą sprawą.

Nie zapominajmy też, że w Unii Europejskiej już od lat mówi się o „eurosceptycyzmie”, a wśród jej mężów stanu nie ma już praktycznie nikogo, kto byłby jej gorącym zwolennikiem.

- A Niemcy? Przecież one były i są jej filarem, nieprawda?

- Tak, to prawda, ale tak było do niedawna. W przeszłości, kiedy powojennym Niemcom Zachodnim zależało na poprawie „niemieckiej reputacji”, to chętnie popierali francuskie koncepcje integracyjne. Bardzo im odpowiadało pozowanie na „Europejczyków”, a nie na tradycyjnych Niemców. Adenauer zresztą, zwolennik koncepcji francuskich, miał podobno nawet jakieś niejasne powiązania z Paryżem.

W każdym razie, Niemcy gotowi byli nawet częściowo zapłacić za przebudowę francuskiego rolnictwa, gdyż Francuzi

całą swoją ideę obmyślił z korzyścią dla siebie przede wszystkim.

Teraz jednakże, po zjednoczeniu Niemiec, w ponad pół wieku po wojnie, przy wdzięczności dla Moskwy za zjednoczenie, nie mówiąc już o swoim potencjale gospodarczym, trzecim co do wielkości w świecie, po co im dalsza integracja? Dadzą sobie świetnie radę bez niej!

I wreszcie, o czym już wspominałem, filarem Unii jest oś Paryż-Bonn, a osią tej osi jest „podczepienie” franka francuskiego pod niemiecką markę, już od czternastu lat. Niemcy, chcąc utrzymać stabilność marki, windują stopę procentową, co osłabia aktywność gospodarczą i zwiększa bezrobocie, zwłaszcza we Francji. Stąd podnoszą się tam głosy, żeby „odczepić” franka od marki. Jeśli do tego dojdzie, to może to być końcem planowanej unii walutowej i „Euro”, a może nawet Unii Europejskiej...

- Załóżmy jednak, że tak źle nie będzie i Niemcy nadal będą budować „zjednoczoną Europę”. Sądzi Pan, że będą chcieli wyłączyć z niej Polskę? Przecież mówi się, one same również to mówią, kanclerz Kohl zwłaszcza, że Polska musi być w zjednoczonej Europie!

- Mówić, to mówią, ale gdy przyjdzie do zamiany słów na czyny, to wtedy zawsze można powiedzieć, że wczoraj było tak, a dziś jest inaczej.

Dyskutujemy o członkostwie Polski w Unii Europejskiej i w NATO. O polskim członkostwie w tych instytucjach mówi się, że „łatwiej jest wejść do NATO z przestarzałymi czołgami, niż z przestarzałym rolnictwem wejść do Unii Europejskiej”. I to jest prawda. Nawet gdyby Unia Europejska miała jak najlepszy stosunek do Polski, a tak nie jest, to przecież i tak miałaby z nią i podobnymi jej krajami olbrzymi problem. Gdyby bowiem wspomniana „dziesiątka” do niej przystąpiła, to jej produkt krajowy brutto wzrósłby tylko o 3 procent, ale produkcja rolna wzrosłaby aż o ponad 30 procent. Już dziś tzw. wspólna polityka rolna Unii pochłania połowę jej budżetu, tj. prawie 60 miliardów dolarów. Natychmiast więc powstanie problem dofinansowywania rolnictwa „nowicjuszy”, w wysokości 11-15 miliardów dolarów rocznie.

Skąd wziąć na to pieniądze?

Problem nie jest więc sztuczny. On naprawdę istnieje i to dla obu stron. W Polsce na przykład, jeśli weszłaby do Unii, podróżeje żywność, a to przecież prawie połowa budżetów

rodziny przy obecnych cenach, a co będzie jutro?.

- Mówi Pan, że stosunek Unii Europejskiej do Polski nie jest najlepszy. Ale przecież o tym nikt nie mówi otwarcie. Dlaczego?

- Tak, ma Pan rację. Otwarcie nie mówi się o wielu sprawach, ani wewnętrznych, ani tym bardziej zewnętrznych, ale za to mówi się pokątnie.

Odnośnie przystępowania b. bloku sowieckiego i Słowenii do Unii Europejskiej, a jutro może to być jeszcze Chorwacja, to mimo wszystko jest to zderzenie dwóch odmiennych światów.

Co więcej, nikt tego otwarcie nie mówi, ale do tej pory europejska integracja była wybitnie integracją zachodnio-europejską, choć wyjątek zrobiono w stosunku do prawosławnej Grecji. Prawosławie, w podziale cywilizacyjnym świata, uważane jest za „Wschód”, choć Grecję trudno nim nazwać. W dotychczasowym ruchu integracyjnym nie brali też udziału Słowianie, najliczniejsza grupa etniczna w całej Europie.

Słowianie, z Rosjanami na czele, nie mają w ogóle najlepszej opinii na Zachodzie, a po tym co się działo i nadal dzieje w b. Jugosławii, mają jeszcze gorszą, w Europie Zachodniej zwłaszcza, która jest tego bezpośrednim świadkiem. Prawda, w Europie Zachodniej też jest wiecznie krwawiąca Irlandia Północna, Korsyka, czy okresowo kraj Basków, ale skala tych wydarzeń jest mniejsza.

Ponadto, Niemcy mają ostatnio wcale nie taki znów cichy zatarg z Czechami o Sudety, a Włosi ze Słowenią. Polska z kolei stała się miejscem przerzutu Azjatów i Afrykanów do Unii Europejskiej, dzieło mafii b. ZSRR, a ponadto jej politycy i inni działacze, jak Zygmunt Wrzodak, podnoszą sprawę nie sprzedawania ziemi obcokrajowcom, rzecz nie do pogodzenia z brukselskimi prawami.

- A czy rządy lewicy w Polsce nie są przeszkodą?

- Oczywiście, że są, choć tego znów nikt głośno nie mówi, gdyż musiałby kwestionować zasadę wolnych wyborów. Prawdą jest jednakże, że w niektórych ośrodkach opiniotwórczych w Unii Europejskiej, podniosły się głosy już po triumfie SLD w wyborach z września 1993 r., że w tej sytuacji Polska musi zapomnieć o przystąpieniu do niej. Po triumfie Aleksandra Kwaśniewskiego w wyborach prezydenckich z listopada-grudnia 1995 r., głosy te są nawet bardziej zdecydowane. SdRP, rdeń SLD, co prawda przyjęło ostatnio do Międzynarodówki Socjalistycznej, rzecz istotnie bardzo pomocna dla oblicza rządzącej lewicy, ale w

sumie niechęć do takiej Polski jest poważną przeszkodą w jej staraniach o członkostwo w Unii.

Zresztą, również PSL nie ma najlepszej opinii w Unii ze względu na jego „prochłopskość”, a nie lepiej jest też z wieloma partiami prawicowymi, które znane są z opozycji wobec integrowania się Polski z Europą Zachodnią.

A w ogóle, to Polska, z wyjątkiem teraz SdRP, nie ma partii politycznych, które miałyby swoich odpowiedników w Unii Europejskiej, rzecz bardzo ważna i wcale nie pomocna w przystępowaniu do niej.

- Czyli co, dać sobie spokój z członkostwem Polski w Unii Europejskiej, jak to głoszą niektórzy nasi politycy?

- Za wcześniej nie ma co się poddawać, ale trzeba zdawać sobie z tego sprawę, że dwie trzecie polskich gospodarstw wiejskich musi zniknąć po przystąpieniu do Unii. Rzecz tylko w tym, w jakim tempie i jakim kosztem.

A co do dania sobie spokoju z członkostwem w Unii, to londyński Adam Smith Institute, renomowana w sprawach ekonomicznych instytucja w świecie, tak właśnie radzi Europie Środkowej i Wschodniej. Niektórzy politycy polscy mają więc wsparcie angielskich ekonomistów. Ci bowiem twierdzą, że kraje tego regionu „padną” jeszcze w tzw. okresie przystosowawczym, zanim zostaną członkami Unii...

- To co Pan radzi w tej sytuacji?

- Myślę, że skoro już zaczęto starania o członkostwo w Unii Europejskiej, to trzeba konsekwentnie iść po tej drodze, mądrze oczywiście, ale bez nadziei, że idzie się do jakiegoś rajku. Nawet jeśli Unia przeżyje próby, które przechodzi i będzie przechodzić, to rajem dla Polski nie będzie, a wykupienie biletu do niej może zbyt drogo ją kosztować.

Najgorzej, o ile mogą zorientować się na podstawie dostępnych informacji, to w samej Polsce dość słabo idą przygotowania do członkostwa w Unii, nie bardzo też wiadomo co się na niej zyska, a co straci, czyli taka nasza odwieczna improwizacja.

I tego boję się najbardziej. W Unii, zwłaszcza w Komisji, siedzą różne stare wygi, które wykantują Polaków jak zechcą, a jeśli jeszcze dodać do tego wolną grę sił rynkowych, która będzie narastać, to w warunkach nierówności partnerów skutki tego będą jeszcze bardziej dotkliwe.

Dla zilustrowania powyższych obaw posłużę się przykładem Austrii. Dania, podobnie jak ona członek Unii, korzysta z niej „na czysto”, ale Austria, mniej zamożna od niej, dokłada

rocznie do członkostwa w niej aż 1,5 mld. dolarów, gdyż źle go wynegocjowała. A czy jest gwarancja, że Polska dobrze go wynegocjuje?

- Tematu tego chyba już nie wyczerpiemy. Tym bardziej, że za parę miesięcy będziemy więcej wiedzieć jak sprawy potoczą się.

- Tak, za parę miesięcy, może nawet za rok i parę miesięcy, będziemy rzeczywiście więcej wiedzieć. Albo bowiem Polska dostanie dobrą „opinię” od Unii Europejskiej i w parę miesięcy później negocjacje o pełne członkostwo rozpoczną się, albo wszystko utkwie gdzieś na martwym punkcie, nie mówiąc już o tym, że „przewróci się” w ogóle.

- Bądźmy zatem cierpliwi i skończmy na tym ten temat.

W następnej rozmowie proponuję poruszyć temat perspektyw polskiego członkostwa w NATO.

- Bardzo proszę, jest o czym mówić.